

Jan Wojciechowski

NOTATKI Z PODRÓŻY



*Hace mucho tiempo
recorro el mundo
He viajado mucho,
he vivido poco.
Quien vive de prisa,
No vive de veras.*

*Od wielu już lat
przemierzam świat.
Choć wiele widziałem,
tak mało przeżyłem –
bo kto żył w pośpiechu
ten nie żył prawdziwie.*

Atahualpa Yupanqui

Warszawa 2012

Pustynia

Bratnia pomoc.....	3
Taguella	3
Światło nocy	3
Tifinar	4
Rzeźba na skale.....	4
Kourdane.....	5
Tagrera	5
Wiatr.....	6
Is-Salane	6
M'zab	7
Roknia.....	7
Assekrem	8
Wschód słońca.....	8
Tanezrouft	9
Szosa transsaharyjska	9

Europa

La Défense.....	10
Rheintal.....	10
Carnac	11
Cadaqués	11
Cadaqués (hiszp.)	12
Hospital de Sangre – Krwawy Szpital.....	13
Hospital de Sangre (hiszp.)	14
Ammoudara	15
Muscadet	15
Muscadet (fr.)	17
El Marquet de les Roques	18

El Marquet de les Roques (h.)	19
Πολεμικό μουσείο – muzeum polemiki	19
Enerdowo się kończy	20
Park w Terrassie	20
Wieczór wigilijny na lotnisku Barajas.....	21
Grubhof.....	21

Meksyk

Acapulco.....	22
Plaża w Acapulco	22
Tula	22
Wizyta.....	23

Podwodne

Gdzie raki zimują	24
Wdzydze.....	24
Puerto Escondido	25
Manty	25
114.....	26

Zima

Zorza polarna.....	27
Irbis.....	27
Raport UFOludka	28
Na Orawie.....	29
Rady	29
Consejos	30

Kraj

Sklawsze	31
Nad Wkrą	31
Kalina i Andrzej	32
Wiersz jednozgłoskowcem na cześć He Kry Sko w dniu ich nieimienin.....	32
Spitsbergen	33
Wiosna, niedzielny ranek na Targówku	33

2012

Jugosławia, gdy jeszcze była... ..	34
Απόλλων – Dionizje w Daphni	35
Połonina Wetlińska, Ludwik "Lutek" Pinczuk	35
Sójki	36
Wigry	36
Deklaracja ideolo – wyborcza	37
Vorderkaserklamm.....	37
Węgry	38
Madziarzy	39
Budapeszt.....	40
Puszcza	41
Koty.....	41
La Cobertoirada	42
La Cobertoirada (fr.)	43
Julian	44
Przeciw	45

Bratnia pomoc

Pojechałem daleko
na obcy kontynent
w świat obcej kultury
pomagać w rozwoju.

Mówię
jak rozwiązać równanie
jak zmierzyć niemierzalne
jak zbudować nowe.
Słuchają w skupieniu.

Mustafa
najzdolniejszy z nich
młody geniusz –
przestał słuchać.
Umarł z nędzy.

Ourida
piękna i pracowita –
świata ciekawa,
pokochał ją Francuz.
Zabrał ze sobą.

Azemi
zaciął zęby,
uczył się,
pokazał co umie.
Uciekł za wielkie morze.

Kto został – wnet się zmieni:
zamiast dzellaby – marynarka,
zamiast sandałów – adidas.
I spłodzi wiele dzieci.
Niech im inni pomagają.

Tak biegnie postęp i rozwój.
Kraj pięknieje,
ludziom lepiej.
Jest i moja w tym zasługa.
Czy wina?

Université des Sciences et de la Technologie Houari Boumediene, Alger, 1984

Taguella

Gdy, znudzony wędrówką, usiądę przy wieczornym ogniu
na piasku pustyni –

Wezmę garść grubej mąki z prosa,
kubek wody, szczyptę soli –
twarde ciasto na blaszanej misie zagniotę,
pod węglami ogniska w piasku zagrzebię.

Gdy się chleb upiecze –
zjem go, wodą ze studni popiję,
i, dziękując Allachowi,
pomyślę, że z niejednego pieca
jadłem już chleb powszedni.

Miejsce zwane Youf Ehaket, Sahara Algerska, 1981

Światło nocy

szukam wzrokiem gwiazdy wigilijnej na niebie
ukrytej za chmurami nabrzmiałymi deszczem
nad grudniowym błotem polskich dróg ---

a wtedy, schodząc z gór Hoggaru
szlakiem antycznych wozów Garamantów
wyciągnęliśmy się na ciepłym piasku pustyni

sześć tysięcy sześćset czterdzieści osiem gwiazd
patrzyło nam w oczy

Mont Adrian, Hoggar, Sahara Algerska, 1981

Tifinar

Na powierzchni piasku
 leży płyta granitowa.
 Ktoś przed tysiącletkami
 wykuł na niej kamiennym rylcem
 formy

litery

dźwięków symbole.

Litery składają się w słowa.

Słowa przeczytasz.

Zadźwięczą twym głosem.

Lecz ludzie, co znali tych słów desygnaty,

co potrafili nadać im znaczenie –

znikli w mroku historii.

Pozostały na zawsze

symbole,

litery,

formy,

na granitowej płycie pośród pustyni.

Miejsce zwane Youf Ehaket, Sahara, 1982

Rzeźba na skale

Stała samotna skała nad brzegiem wielkiej rzeki,
 wokół na stepie pasły się zwierzęta.

Podszedł artysta. Śmiałą ręką
 bryłką piaskowca nakreślił kształty,
 krzemiennym dłutem wykuł relief:

wąski pyszczek, wielkie oczy,
 długie rogi, smukłe nogi
 najpiękniejszej antylopy.

Minęła epoka. Po tysiącletkach
 rzeka wyschła, trawa znikła, gwar ucichł
 Żółte diuny pustyni rozbiegły się wokół.

Dziś nasz landrover tamtędy jechał,
 antylopa wskazuje drogę do oazy.

Erg Admera, Sahara, 1982

Kourdane

Na płaskowyżu wznosi się łańcuch gór – Dżebel Amour.
Trzydzieści dni szła tam karawana z wybrzeża.
Tam młody ciemnolicy szejik przywiódł swoją księżniczkę
białoskórą blondyneczkę spod Bordeaux.

Wzięli ślub – a jakże! nawet dwa.
Ślub im dawał kardynał u Matki Boskiej na wybrzeżu,
Ślub im dawał kaid w rodzinnym kraju szejika,
by żyli długo i szczęśliwie ku radości Boga, Allacha i swojej

W dolinie pośród gór płynie źródło czystej wody,
tam zbudowali sobie pałac miłości w Kourdane,
tam ona przeżyła trzech mężów i pół wieku,
stamtąd rządziła swym saharyjskim plemieniem.

Dzisiaj samotny pałac straszy pustką,
Na progu siedzi stuletni starzec – jej sługa,
Fortepian lśni czarno – jakby wstała od niego wieczorem,
Portrety na ścianach, bukiet kwiatów w wazonie.

Pamięć o niej żyje dotąd wśród ludu pustyni,
Jej imię rozbrzmiewa w gawędach starych ludzi
w meczetach, w kafejkach, przy wieczornym ogniu
mówią o niej: Lalla Aurelia, nasza królowa...

Kourdane, Ain Mahdi, Atlas Saharyjski, 1983

Tagrera

Staniesz pod murem grodu z dawnych wieków.
Ceglana ściana ciągnie się ku niebu,
nad nią minaret, wieże, zamku szczyty
albo zdobione zębate attyki.

W murze szczeliny – niczym bramy grodu.
Wejdziesz tam i spróbuj wdrapać się wysoko –
ze szczytu spojrzysz na skały i ziemię
w krąg jakby złotym zbożem porośniętą.

Na zachód słońce czerwono opada,
niebo nad tobą już granatowieje –
od wschodu w górę idzie księżyc złoty
i cisza wokół: ni ptaka, ni muchy...

To złuda, magia, czary, urojenia –
tylko piaskowiec martwy i pustynia.
Na setki mil stąd nie ma wody, nie ma życia
jedynie hamsin skałę zwolna rzeźbi.

Miejsce zwane Tagrera, Sahara, 1982

Wiatr

Wiatr idzie

Niebo dziwne z rana
Irytacja, kłótnie,
pośpiech nas ogarnia,
przewodnik gna wóz

Wiatr idzie

Szarobura chmura
słońce przesłoniła
wysoko się wznosi
uciekać stąd czas

Wiatr idzie

auto w skał załomie,
chowaj się do groty,
manierkę napełnij,
szeszem owiń twarz

Wiatr przyszedł

wyje, skrzeczy, skomli,
kamień wokół syczy
oczy już czerwone
w gębę wciska piach

Wiatr wieje

Nie patrz tam na pole
może przeżyjemy
do świtu daleko,
wypij wody łyk

i cisza

taka cisza wokół
srebrzy się poranek
miałeś, brachu, w ustach
pustyni smak

Miejsce zwane Tahhaggart, Sahara, 1982

Is-Salane

Przy drodze leży szkielet wielbłąda
obok niewielki podłużny pagórek
dwa na nim kamienie.
Tu spoczywają dwaj chłopcy z Mali
co szli do Libii, do pracy przy ropie.
Zabrakło im wody.

Ojciec im długo tłumaczył drogę,
gdzie szlak, gdzie góry, gdzie znajdą wodę
w pustynnych studniach.
znaleźli jedną, trafili na drugą,
trzeciej szukali w palącym skwarze,
Zabrakło im wody.

Kuider, który ich zwłoki znalazł,
mówił, że w jukach wielbłąda było
jeszcze dość żywności:
matczyne placki z prosa,
mąki woreczek, cukier, herbata.
Zabrakło im wody.

Bez wody dwa dni przeżyjesz
w gorącym piasku, w piekielnym słońcu.
Wiesz, że studnia niedaleko,
Wąwóz podobny jeden do drugiego,
już się wszystkie drogi plączą,
Zabrakło im wody.

Do Is-Salane im pozostała
godzina drogi spokojnym krokiem
po krętych ścieżkach.
Gdy wiesz, którą drogę wybrać,
bez trudu dojdiesz do studni
tam wodę znajdziesz.

Is-Salane, Hoggar, Sahara Algerska, 1982.

M'zab

Oni uciekli przed prześladowaniem
przed silniejszymi, którzy im nie dali
chwalić Allacha według swojej woli.
Rzucili wszystko i poszli w pustynię.

Znaleźli ziemię, daleko od ludzi,
gdzie wiatr zachodni chmury wodonośne
przyganiał czasem tam znad oceanu –
może trzykrotnie w życiu pokolenia.

Przez dziesięć wieków nieustannej pracy,
motyką kopiąc kanały, zbiorniki
swój pentapolis tam pobudowali.

Szły karawany w cztery strony świata
splatając handlem rozległą Saharę
by mogli żyć tam długo i szczęśliwie.

Ghardaia, Sahara Algerska, 1981

Roknia

Gdy do Annaby jedziesz z Konstantyny,
gdzie barwne stożki Hammam Meskoutine,
cienka czarna droga na północ prowadzi
w głąb starych zwałów Atlasu Telskiego.

Rozległa dolina staje przed oczami
wkrąg obrębiona drobnymi krzaków haftem,
koniec drogi – ślady ruin – pustka –
i coś w powietrzu chwyta cię za duszę.

W dolinie stoją dziwne małe chatki:
cztery kamienie od góry nakryte
kamienną płytą – wpełzniesz tam na brzuchu,
jeżeliś szczupły, jak ja wtedy byłem.

To nekropolia – stary cmentarz w Roknia
tam naliczono piętnaście tysięcy
takich dolmenów, menhirów, czy jaskiń.
Tak lud tamtejszy hołd przodkom oddawał.

by pozostała pamięć ich przez wieczność,
lecz przeminęło z górą sto pokoleń,
i nic nie zostało więcej jak puste
groby z płyt wapienia w zapomnianym kraju.

Roknia, Atlas Telski, Algeria, 1984

Assekrem

Pobudka ciemną nocą
wstawaj, buty wkładaj, latarka do łapy
mróz kąsa policzki
światło gwiazd rozjaśnia stromą ścieżkę
suniemy do góry

Krótkie ciężkie oddechy
– przecież to wysoko –
– pomóż sobie rękami na stromiźnie –
– fonolity śpiwnie jęczą potrącone butem –
ścieżka robi się wąska
wyszedłeś na kopułę szczytową

Ciemno, zimno, cisza, sapanie,
gwiazdy jak opętane,
blisko, na wyciągnięcie ręki

i co teraz?

Wtem na wschodzie mignie złota kreska,
to promyk słońca jarzy się zza grzbietu odległej góry,
 trzask migawek –
 eksplozja światła –
 naraż stał się jasny dzień,
różane obłoki jutrzeńki uciekają w popłochu.

Monumentalny pejzaż Hoggaru ze szczytu Assekremu
rudobrazowe ściany gór w kontrastowym świetle –
wiem, tylekroć widziane na fotografiach –
lecz świadectwo swych oczu zachowasz na zawsze
w pamięci

Assekrem, Hoggar, 1982

Wschód słońca

półmrok kabiny samolotu
gdzieś w górze,
za oknem czarna noc, czarne niebo, czarna ziemia
popatrz w lewo – mówi Joanna

siedzi Tuareg w białej gandurze, w błękitnym turbanie,
za oknem tam czerń jaśnieje granatem,
jaśniej, jaśniej – błękitny pasek
jaśniej, jaśniej – żółta kreska

za prawym oknem – czarna ziemia
żadnego na niej światła
jakby już mniej czarna
jakby antracytowe formy –
jaśnieją, szarzeją –

TO SŁOŃCE WSCHODZI

blask strzela w oczy
szare skały gór wśród żółtej pustyni,
pomruk silników cichnie,
– zapnij pasy –
lotnisko w Tamanrasset przed nami.

lot Alger – Tamanrasset, 1982

Tanezrouft

zza kierownicy Fiata
 widzisz dwie linie:
 czarna kreska szosy wybiega na wprost
 łączy się z poziomą kreską horyzontu –
 pod kreską – brązowe,
 nad kreską – błękitne
 zamierasz w nieruchomym na trzy godziny.

Słońce leje żar z góry.
 Gdy spojrzysz w bok
 gdy na chwilę oderwiesz wzrok od kreski,
 może dostrzeżesz brązowe kamienie
 na brązowym piasku
 do skrajów horyzontu

Czasem mignie auto z naprzeciwka:
 wyjdź z transu, zwolnij, zjedź na bok
 bo to nieruchome pędzi z tobą setką przez pustynię
 z łoskotem motoru.

Naraz coś się zmienia:
 to niemożliwe: uważaj, zakręty!
 ostrymi agraftkami spelzasz ze ściany płaskowyżu.
 W dole przed tobą widzisz
 brązowe od rdzy skorupy aut
 tych, co się zapomnieli w nieruchomym...

Płaskowyż Tanezrouft, Algeria, 1981

Szosa transsaharyjska

Szosa przez pustynię.
 Upał, słońce pali,
 prosta pusta droga
 znika w błękicie morza, za nim palmy, wielbłądy.
 Pojedziemy tam odpocząć
 nad wodą w cieniu palmy
 To miraż.

Na asfalcie szarobura plama
 Dziura w jezdni.
 Joanna mówi: dziura, hamuj!
 Zwalniam, hamuję, zmieniam bieg.
 Plama znika.
 Miraż.

Na asfalcie szarobura plama
 Dziura w jezdni.
 Joanna mówi: tym razem to prawdziwe!
 Zwalniam, hamuję, zmieniam bieg.
 Plama znika.
 Miraż.

Na asfalcie szarobura plama
 Dziura w jezdni.
 Joanna mówi: tym razem to naprawdę prawdziwe!
 Już nie dam się nabrać
 – nie zwalniam, nie hamuję –

.....

.....

.....

oj, niedobrze nie słuchać żony...

Algeria, Tanezrouft, 1982

La Défense

Los dał, że poznawałem La Défense
wzdłuż czwartego wymiaru czasoprzestrzeni
od powstania po niedawne lata
Niegdyś – pamiętam – krzyczałem z rozpaczą jak Zuzik
gdy wiatr tam duł pustymi przestrzeniami.

Ale ostatni spacer wiódł przez park
w lesie ćwierćwiecznych lip, sosen i klonów,
gdzie cień chronił oczy przed słońcem,
a ptaki niemożebnie dały się w górze.

Na Esplanadzie dzieciaki ganiały na deskach
zmęczone Amerykanki moczyły spuchnięte nogi w stawie
wśród kaczek co tam opadły w przelocie,
kafelki zapraszały na *déjeuner*,
ekumeniczny kościół zachęcał by zajść,
okna domów uśmiechały się kwiatami.

Bo to jest Paryż:
wieża Eiffla – skandal;
bulwary Haussmana – rozpacz,
metro na Pont de Grenelle – koszmar,
Centre Pompidou – rafineria,
piramida Louvre'u – ohyda.

Poczekaj,
pożyj,
popatrz,
posmakuj –
to właśnie jest Paryż.

Paryż, 2004

Rheintal

Głęboko wcięta dolina wielkiej rzeki,
rządki winnic wspinają się na wzgórza,
z drugiej strony czernią się lasy sosnowe,
wstęga drogi uśmiecha się do słońca.

Skała Lorelei brutalnie zamyka nurt
jakby kobieta kładła rękę na głowę Zygryda
– daj se luzu, Mein Herr!
Młodzi Niemcy o blond włosach ze swymi kobietami
popijają Liebenfraumilch w gospodach
i śmieją się: to "seelenapotheke"

Przecież ten kraj nie narodził się wczoraj –
przecież tu wino dojrzewa od tysięcy lat –
było tu dość miejsca do wypitki i do wybitki,
był czas Wagnera, był czas Bethovena.

Jakież wielkie szaleństwo ogarnęło ten naród
jak strasznie zabrakło im aptek dla duszy
by porzucić swe piękne gospody nad Renem
i przez pół świata rozrzucać swe kości,
umierać nad Wołgą, w Afryce, na morzach
w imię wrzasku oszalałego Führera?

Po co?

gdy pytałem, kiwali z żalem głowami...

Ren, Niemcy, 1998.

Carnac

Daleko, gdzie Francja się kończy,
gdzie Bretania wysuwa w morze język Quiberonu,
gdzie Morbihan rozlewa się wśród niskich brzegów,
stoją menhiry Carnacu.

Są kamienie gładkie, są rzeźbione
w skomplikowane wzory, linie i spirale,
są dolmeny, grobowce, korytarze,
leży olbrzym, który gdy stał
mierzył więcej jak dwadzieścia metrów
aż padł z hukiem i rozpękł na trzy kawałki

i najdziwniejsze – w liniach rozmieszczone
setki płaskich kamieni ciągną się mil parę
niby według wzrostu stojące
surowe głazy, nieco mchami obrośnięte

Ktoś je postawił, coś je wytworzyło?

Mówią, że ostańce w procesach geologicznych;
mówią, że kosmici lądowisko budowali;
mówią, że źródła mistycznej energii tam biją –
trzy tysiące hipotez sformułowano.

Jedna z hipotez opowiada,
że przybył tam święty mnich Kermario
by Celtów na prawdziwą wiarę nawracać.
Aż tu zjawił się legion rzymskich żołnierzy
i za mnichem w pogoń się rzucił.
Ten wbiegł na wzgórze, padł na kolana
i Boga o ratunek błagał.

Cud boski prześladowców w kamienie zmienił
i tak zostali, czwórkami w biegu,
na zawsze...

Carnac, 1997

Cadaqués

Gdzie Pireneje wschodnim skrajem toną w morzu,
leży na uboczu kraj wzgórz, zatok, przylądków
Costa Brava – dzielni ludzie tam osiedli
z nacji śródziemnomorskiej
co to żyją od Gibraltaru po Lewant
tam na Cabo de Creus jest wioska rybacka
Cadaqués.

To o nich śpiewał niegdyś Joan Manuel Serrat
a Roberto mi przypominał:

*...Soy cantor, soy embustero,
me gusta el juego y el vino
tengo alma de marinero
Qué le voy a hacer, si yo
nací en el Mediterráneo...*

*...jestem śpiewak, jestem oszust,
lubi grać i wino pić
moja dusza marynarza,
coż ja poradzę, żem
się urodził nad Śródziemnomorzem...*

Wzniesli ludzie małe domki,
mały port w zatoce
nad miasteczkiem kościółek
Później przyszli artyści i zostali w zachwycie
oszołomieni pięknem.

Spotkaliśmy się tam w małym hoteliku
z Marzeną i Robertem – to było ich święto,
pewnie świętej Marzeny jeżeli taka jest

i w tawernie El Pescador tuż nad morza brzegiem
paella con frutos del mar na wielkiej patelni
z białym winem – wstyd, nie pomnę jakim
wieczór nam urozmaiciła

była to i nasza czterdziesta rocznica ślubu
... tacy starzy ... jak można tak czterdzieści lat?
my jeden rok i już mamy dość – pytali młodzi
(ich mały Julian w koszyku nieśmiało protestował)

Minęły lata – wspomnienie zostało
i smak białego wina do paelli...

Cadaqués, 2006

Cadaqués

Donde los Pirineos se hunden en el mar
Yace el país de montes, bahías, penínsulas
Costa Brava – donde la gente brava vive
los de la nación mediterránea
de entre Gibraltar y Levante
allí en el Cap de Creus hay una aldea de pescadores
Cadaqués.

De ellos cantaba Joan Manuel Serrat
lo que Roberto me había recordado:

*..Soy cantor, soy embustero,
.me gusta el juego y el vino
tengo alma de marinero
Qué le voy a hacer, si yo
nací en el Mediterráneo...*

Construyeron las gentes las casas pequeñas,
un puerto pesquero en la bahía,
la iglesia blanca en la loma
después vinieron artistas y se quedaron en encanto
aturdidos por la belleza

Allí hemos encontrado a Marzena y Roberto
en el día de santa Marzena si existe

y en la taberna Al Pescador, al bordo del mar
paella con frutas del mar nos dieron
en una bandeja grande
y vino blanco – con vergüenza digo,
que su nombre se me ha escapado

Ha sido también nuestro aniversario de boda
cuarenta, si logro contar bien

...tan viejos... como se puede así durante cuarenta años?
se asombraban los jóvenes
ya después de un año no es fácil ...
(pequeño Julián protestaba tímidamente en la bolsa)

Pasaron los años – quedaron recuerdos
y el sabor del vino y *paella*...

Cadaqués, 2006

Hospital de Sangre – Krwawy Szpital

Droga kręta się wznosi przez Matadepera,
prowadzi na przełęcz Estenalles,
Po lewej stronie zobaczysz
fermę zwaną La Mata, a ponad nią
stary kościółek św. Jakuba.

Droga idzie szczytem między dolinami
Carena de Castanyera zwa ją miejscowi,
kręci na południowy, to północny wschód,
na koniec tnie na południe, aż trafisz
do wielkiego dębu: to Alzina del Vent.

Choć już nogi bolą,
trza dalej maszerować:
Wieża Tres Creus – Trzech Krzyży przed tobą,
zejdziesz na przełęcz Boix
szeroką drogą,
aby potem skręcić w prawo,
wąską ścieżką w górę

Jeszcze pół godziny z hakiem
ścieżka gubi się na skalistej polanie
gdzie zdaje się, że jedyny dalszy szlak
wiedzie prosto do nieba.

Brzeg skały popękany,
takie niby-ścieżki na szerokość stopy,
wszystkie giną w pustce;
tylko jedna z nich, gdy znasz zakłęcie,
poprowadzi cię w dół, drobną tropką,
jakby zaczarowaną ścieżką,
w skalny korytarz pod ziemię.

Idź dalej: niby sala kordegardy
obszerna, z dachem, gdzie okna w skale
na wszystkie strony patrzą –
tam z dobrą strzelbą stawisz czoła
plutonowi najeźdźców.

Za nią ciemna jaskinia się otwiera
w niej woda ze źródła spada kroplami
do wielkiej misy glinianej,
a dym z ogniska, niewidoczny
pod czarnym od sadzy sklepieniem,
umyka przez ciasne szczeliny.

A dwadzieścia kroków dalej
wejdiesz do skalnej piwnicy,
zamkniętej przez dwa mury,
tam na piasku znajdziesz
ślady krwi rebeliantów katalońskich,
co to nie chcieli, za cenę życia,
uznać obcych panów.

Terrassa, Serra de l'Obac, 2007

Hospital de Sangre

Cuando subes por Matadepera
llegas al col d'Estenalles
tomando a la izquierda, tu ves
la finca de la Mata, y mas alto
la vieja iglesia de Sant Jaume.

El sendero va por la cresta entre dos valles
la Carena de la Castanyera se llama
gira al sureste, al noreste, al sur
hasta que te arrastres
a la Alzina del Vent.

Aunque te duelen las patas,
hay que seguir el camino.
Turó de Tres Creus
se abre por delante,
bajas al Col de Boix
por el gran sendero
para tomar la vereda
subiendo por tu derecha

Media hora más, si andas bien,
te lleva a una llanura rocosa
donde la vereda se pierde,
que parece no tener salida
otra que directo al cielo.

Por la roca pasan las ranuras
anchas para una pie;
todas desaparecen en vacío,
una sola, que hay que saber
te da bajar por la trocha menuda
al corredor subterráneo.

Entras en la sala de la cordegarde:
ancha, con techo, con ventanas
saliendo a todos los accesos –
con una buena escopeta, allí te defendíais
contra un pelotón de enemigos.

La cueva sombra se abre:
allí el agua cae por gotas
en un gran tanque de barro,
allí el humo del fogón
dejando negro el techo
se pierde en las grietas rocosas.

Veinte pasos mas
entras en la bóveda de rocas
cerrada por dos muros;
allí al suelo ves la huellas
del sangre de los castellanos rebeldes,
que no querrían vivir sometidos
al poder extranjero.

Terrassa, Serra de l'Obac, 2007

Ammoudara

Złota kula księżyca wisi nad morzem,
fale mruczą o parę kroków,
kończymy butelkę retsiny
po dobrej kolacji, na tarasie tawerny
w mroku kreteńskiej nocy.

Podchodzi gospodyni –
blondynka z Hamburga, która tu na plaży
pomaga żyć swojemu Grekowi –
dla naszych gości, na koszt firmy,
buteleczka rakii, zmrożona aż oleista
powoli wycieka do kieliszków.

Na wschodzie łuna świateł Heraklionu,
masyw Tylissos od południa,
ściana gór na zachodzie gasi gwiazdy,
miesza się z nimi lampa małej cerkiewki,
nad morzem czerwono błyszczą światła kominów
elektrowni.

Kolebka Zeusa w górach Idy, ruiny Knossos,
dysk z Festos, akwedukt rzymski,
wioska rodzinna El Greca,
turecka cytadela, pomnik walk o wolność –
esencja naszej historii
w szklaneczce rakii.

Ammoudara, Kreta, 2008

Muscadet

Jurkowi Żurańskiemu – z życzliwym wspomnieniem

W słoneczne sobotnie przedpołudnie
pojechaliśmy w dół Bretanii
poszukać dobrego wina:
Muscadeta zacnego,
białego wytrawnego
chcemy kupić tego dnia
Pascal, Jerzy i ja.

Niewielkie pagórki wokół,
wioska spoczęła w dolinie
nad rzeczką stary most rozpanoszony
jeszcze przez rzymskie wzniesiony legiony,
kościółek z kamienia kredowego
tak gdzieś z wieku dwunastego
i strzałka: *Henri Grégoire et fils*
Muscadet – vente et dégustation
Beaurégard – Mouzillon, km 10.
No to jedziemy tam
Pascal, Jerzy i ja.

W słoneczne sobotnie południe
do farmy zajechaliśmy wspólnie,
na farmie siedzi starszy pan,
jakoś smutne oczy ma
robi porządki w piwnicy,
wyraźnie nie ma z kim wypić,
więc mu zaraz pomoc da
Pascal, Jerzy i ja.

Pan prowadzi do piwnicy,
cztery kielonki wyciąga,
wino z beczki nam podaje
pyta: jak się wam wydaje?
a teraz weźmy to drugie
co stoi tu już pięć lat,
a może tamto jeszcze,
mocne jak bretoński chwat
a może *Muscadet sur lie*,
co w butelce złotem lśni?
Pewnie też się wypić da,
zgodzą się Pascal, Jerzy i ja.

Bo ten tutejszy Muscadet
to nie byle jakie ziele.
Białe, wytrawne, *très sec*,
z lekko zielonym odcieniem,
barwa zależy od wieku
i na której rosło ziemi.
Wino pić trzeba chłodzone,
najlepiej z piwnicy prosto,
dobre jest do ryb, do drobiu,
a wyborne jest do ostryg.
Można je brać do befsztyku,
gęsi smak bardzo podnosi,
wyśmienite jest wieczorem,
aby wypić po szklaneczce
gdy dziewczyna cię zaprosi
na słodkie *tête à tête*. Ale
dobrą radę wam dziś dam,
abyś nigdy nie pił sam,
bo to szkodzi!
mówi mądry pan Grégoire.

W słoneczne sobotnie popołudnie
Pan Henri wątpliwość ma:
kto nie spróbował dwa razy
ten smaku wina nie zna;
a kto trzeci raz nie skosztuje,
to wina wręcz nie zrozumie,
więc pijemy z nim do dna
Pascal, Jerzy i ja.

A wy skąd jesteście, chłopcy?
Ja jestem Breton z północy–
teraz w Paryżu emigrant.
Pascal na to. A ci dwaj
aż z Warszawy przyjechali
by Bretanii poznać smak.
Aż z Warszawy? To ja wam
na drogę prezenty dam:
i pakuje do pudełka
Muscadeta trzy butelki,
by się łatwiej żyło nam.

W słoneczny sobotni wieczór
mozolnie wracamy do Nantes,
trzymając się mocno butelek,
żeby nie uciekły nam.
Pewnie je w dom przywlecziemy
kiedyś razem wypijemy,
gdy znów się spotkać da:
Pascal, Jerzy i ja.

Nantes, 1996

Muscadet

À Pascal, à Jerzy avec amitié

Une jolie matinée de samedi
nous descendons vers midi
chercher du bon Muscadet
blanc, savoureux et sec
qu'on veut acheter ce jour-là
Pascal, Jerzy et moi.

Le petit village s'amène
avec un vieux pont romain
bâti par les légions,
en pierre blanche donjon
de l'église de siècles anciens,
l'écriteau: *vente et dégustation*
chez Henri Grégoire et fils
a Mouzillon – kilomètres dix.
Alors tout de suite on y va,
Pascal, Jerzy et moi.

Un joli midi de samedi
à la ferme on arrive,
un vieux monsieur nous attend
visiblement s'ennuyant,
nettoyant lentement la cave,
il n'a avec qui boire, le brave,
donc en secours lui viendra
Pascal, Jerzy et moi.

Monsieur nous invite à la ronde
il pose quatre verres profonds
les remplit du vin brillant
nous dit: est – ce que cela vous chante?
– mais comparons avec l'autre
qui mûre cinq ans au tonneau,
sinon, prenons celui-là
qui tient un petit goût d'antan,
ou bien un *Muscadet sur lie*
qui de l'or légèrement brille?
Eh bien, aussi on le prendra –
sont d'accord Pascal, Jerzy et moi.

Un joli après-midi de samedi
Monsieur Henri a ses doutes
qui n'a goûté qu'une fois
le goût du vin ne saisit pas
qui n'a goûté que deux fois
sûr que jamais ne le comprendra
donc à l'étude se mettra
volontiers – Pascal, Jerzy et moi.

Et d'où venez vous, les garçons?
– Moi, je suis un vieux Breton,
émigré pour boulot à Paris –
répond Pascal. Et nous sommes de Varsovie
passant par là, pour la Bretagne connaître.
– De si loin? Alors je vais vous mettre
en cadeau, quelques bouteilles de mon vin
peut-être vous servira enfin
dans votre pays si lointain.
Avec des paquets – et non sans peine
très tard de la ferme on sortira,
Pascal, Jerzy et moi.

Une jolie soirée de samedi
nous rentrons péniblement a Nantes
bien épuisés par la journée,
en nous accrochant aux bouteilles
pour qu'elles ne nous échappent.
On les portera chez nous,
et peut-être un jour
ensemble on les boira –
Pascal, Jerzy et moi.

Nantes, 1996

El Marquet de les Roques

Ciasny skręt w lewo z głównej drogi,
w rozległą rolniczą dolinę
pośród domów, ogrodów, przez pola,
rzeczka środkiem ciurka
to Vall d'Horta – Dolina Ogrodów.

sosnowy las podchodzi,
dolina się zwęża, dziczeje
góry napierają
za przełomem droga w prawo idzie

daleko na szczycie ruina Castell de Pera
świeci dziurami okien
dojść tam niepodobna
na czterech łapach trzeba było się wspinać
trzy farmy w górach zagubione
pod szczytem Agramunt, obok El Romeu
i pod przełęczą Pregona – czy tam ktoś żyje teraz?
mówiono że zginęli wszyscy
podczas wielkiego pożaru...

a w lewo pod ścianą Montcau
dziwne zamczysko wзира
neogotyckie dziewiętnastowieczne
dziś miejsce spotkań poetów
wystawy malarstwa
jedna izba pachnąca dymem z komina
gdzie jeszcze ktoś mieszka

ech, wynająłbym tam izbę
choćby jako ogrodnik...

Terrassa, Val d'Horta, 2007

El Marquet de les Roques

Girando a la izquierda del camino
entras en el ancho valle agrícola
entre las casas, huertas, campos
un riachuelo chorrea por el medio
esto es lo que dicen Val d'Horta

El bosque de pinos baja a la pista
el valle se pone más salvaje
las montañas presionan
detrás de la garganta un sendero
te lleva a la derecha

lejos en la loma unas ruinas
abren los ojos de ventanas
no llegues allí
que sobre cuatro patas
tres fincas perdidas en los montes
Agramunt bajo la loma, El Romeu,
y la Pregona bajo el col – ¿Vive alguien allí?
Se decía que todos murieron
cuando pasó el gran incendio...

A la izquierda bajo el muro de Montcau
un castillo extraño
neo-gótico del siglo diecinueve
hoy lugar de poetas
exposiciones artísticas
in cuarto huele de humo de chimenea
parece habitado todavía...

eh! me alquilaría un cuarto en esta casita
aunque sea como jardinero...

Terrassa, Val d'Horta, 2007

Πολεμικός μουσείο – muzeum polemiki

z czarnych sosen droga wbiega w granitowe skały
ostre góry Epiru przesłaniają niebo
w cieniu neon błyska na żółtej ścianie domu
πολεμικός μουσείο – muzeum polemiki? muzeum wojenne!

Podbiega młody chłopak w mundurze żołnierskim:
Πολωνία? wy z Polski? to chodźcie zobaczyć!
ciągnie nas za ręce, prowadzi do wnętrza,
wskazuje na ścianę, gdzie stare fotosy

samolotów – myśliwiec, górnopłat z silnikiem gwiazdowym,
polskie skrzydło, kabina zamknięta – wszak to polski
PZL 24 – aż tu go zaniósł,
by pod greckim niebem gonił Italiańców!

Zbudowano w Polsce sto pięćdziesiąt maszyn.
Poszły do Grecji, Turcji, Rumunii, Bułgarii,
Tych maszyn, wówczas może najlepszych w Europie
zabrakło nam w kraju, gdy nadszedł ów wrzesień.

Grecja, Epir, 1977

Enerdowo się kończy

Pół roku minęło jak mur się rozsypał
w Berlinie z wielkim hukiem –
na granicy wewnętrznemieckiej stały
i straszyły jeszcze wartownie, wieże
i odwachy – już puste i martwe
jak zgasłe oczy trupa systemu.

Nieco na południe od Getyngi
granica jeszcze cięła kraj jak rana
zasiekami, pasem zoranej ziemi, polem minowym
które pewnie właśnie rozbrajali
gdzieniegdzie na ranie powstawały zrosty
łącząc poprzez druty dłonie starych dróg
od pół wieku zamkniętych.

Nie było tam obcych, tylko swoich puszczałi
jechałem niemieckim wozem
była wioska, granicą rozcięta
żyły tam takie same Millery i Schmidty
stały takie same wiejskie domy
po lewej – brudne, spękane, parszywe,
po prawej – kolorowe, dostatkiem błyszczące
tamte nad glinianą dziurawą drogą,
te nad świeżo zamiecionym asfaltem,
tylko Volkswageny już tu i tam stały.

Tam dopiero zobaczyłem, że ta stara zniewaga
zawarta w słowach "Polnische Wirtschaft"
mówiła o sukcesach budowy socjalizmu
w środku Europy.

Park w Terrassie

Trójdzielny wąwóz przecina wzgórze
Dwie rzeki niegdyś tu się zbiegały
spływając z gór San Lorenzo.
Pozostały bryły kościołów sprzed tysiąclecia
zamczysko średniowieczne
i most gotycki niezwykłej piękności.
Wokół stoją zabudowania miejskie
i szczątki fabryk włókienniczych
z kominami maszyn parowych.

Ze ściany wąwozu tryska źródło
woda spływa strumykiem w dolinę,
płyńie rzeczką, płyńie podziemnym kanałem,
przecina linię kolejową o szerokości dłoni
gdzie dorosłe dzieci Terrassy
bawią się w niedziele w kolejarzy,
a małe dzieci z piskiem siadają do wagoników,
Rzeczka draży teren przyszłej stacji metra,
dziś zamieszkały przez trzy dzikie koty,
na koniec tworzy porośnięte trzcinami rozlewisko
gdzie żyją złote i czerwone karpie
i para żółwi błotnych.

A ściany wąwozu wiosną
Isnią żółto od rojów dzikich żonkili.

Gdy idziemy tam na spacer,
żółwie z daleka nas rozpoznają,
unoszą trójkątne pyski nad wodę,

. /.

z zapalem machajac pletwami
plyna nam na spotkanie
w oczekiwaniu належных im okrucich chleba,
i w nadziei, ze je zjedza,
zanim je pozra dzikie karpie.

Terrassa, 2007

Wieczór wigilijny na lotnisku Barajas

patrzmy przez wielk szklan sciane
na samoloty pelzajace po plycie lotniska,
kufel piwa w lapie trzymamy,
gasnace slonce niebo zmierzchem maluje.
Pierwsza gwiazda migoce juz w gorze,
gwiazda wigilijna Bozego Narodzenia.

Nie wszystkie Wigilie za stolem rodzinnym nam przeszly;
byly takie w tatrzańskim schronisku,
na Pasterce w góralskim kościółku na Orawie,
w głębokim lesie sypiace cicho śniegiem,
było że talerz dla niespodziewanego gościa
nie był niepotrzebny,
była smutna, gdy Joanna matkowała czterem przyjaciółom,
z których każdy swych bliskich w wojennej Polsce zostawił,
była ucieszna w barze nad brzegiem morza
w tropikalną noc

wkrótce głośnik nas wezwie do wyjścia
wtedy otrząsnę z wąsów pianę piwa
i pójdziemy długim korytarzem
na nocny lot.

Madryd, 2006

Grubhof

Rauchenberg gębą pyzată do okien się wciska
Owinięty w puch sosen miką w skale błyska
Tam potrójny Ochsenhorn, tu Anderlkogla wieża
Kły granitu śniegiem przeplecione szczerzą –

Stary park nieruchomo w słońcu rozpostarty
Wielkie klony, daglezje, akacje i lipy
Nad zielenią trawy, z poszumem fontanny
Niosą się wśród liści skrytych ptaków krzyki –

Po przeciwnej stronie, za knajpą i dworem
Wysoką wodą Saalach po kamieniach spływa,
Tam współczesne nomady osiadły taborem
Gniewna rzeka ich drobne łódeczki porywa.

W salonie Grubhofu – Marek, Jadwiga, nas dwoje
Flaszka Grüner Veltliner na stole przed nami,
Na chmury za oknami patrzę z niepokojem –
Jutro na Grossglockner Alpenweg ruszamy!

Lofer, Austria, maj 2011

Acapulco

Chłopak wspina się po skale,
włazi trzydzieści metrów w górę,
znak krzyża, chwila modlitwy,
spojrzenie na bezkresny Pacyfik
i kreskę przyboju na plaży –
– skok wyciągniętą jaskółką
by wbić się w nadbiegającą z oceanu falę –
szybki zwrot, bo płytko,
parę ruchów ramion w crawlu
i zwycięski uśmiech na plaży –

Skacze jeden, drugi, trzeci,
ich kolega z kapeluszem krąży wśród publiki,
co z całego świata tu się zbiegła
by się łykiem adrenaliny ze skoczkami podzielić

i co:
skoczyć dla radości życia i smaku wiktorii,
dla tańców z dziewczyną w upalną noc
czy dla paru peso na chleb dla swoich?

Publika szepcze, że jeden z nich zginął,
wbił się w dno, gdy w szczyt fali nie trafił,
ale to było kiedyś,
może go panna rzuciła,
a legenda dodaje smaku
– i groszy w kapeluszu.

Acapulco, Meksyk, 1974

Plaża w Acapulco

Stary Meksykanin
w wielkim sombrero srebrem okutym
podaje polskiej dziewczynie
gruby zielony puchar
z orzecha kokosowego:
to jest właśnie *saoko* –
ron con agua de coco
rośnie na palmie, rumem dojrzewa,
słomka z niego wyrasta –
pij panna na zdrowie,
zostaną wspomnienia gdy młodość przeminie

Acapulco, 1974

Tula

na płycie pałacu Azteków
pozostały jedynie kolumny
z czarnego granitu wykute,
na czterech chłopa wysokie
bogato wyrzeźbione
Atlantów.

Na dole przed muzeum
mniejsza figura stoi:
na bryle granitu
twarz sarmacka, wąs się dwoi,
kontusz z ramion spływa
pas słucki zwisa z biodra,

. / .

postać w ręku trzyma coś
ni to szabla, ni kropidło,
tylko parę linii wzdłuż
nie zgadniesz co to być mogło,
pod figurą kresek rząd
w litery się składa –
czy azteckie, czy olmeckie
nic się tu nie zgadza

lecz gdy se tequilę strzelisz
albo nawet dwie
to ci się wzrok zarumieni
albo może nie,

i te kreski się ułożą
w taki dziwny tekst
co to tylko jeśliś Polak
znajdziesz jego sens:

C-H-O-L-E-W-A

czyli po polsku CHOLEWA

Wszak już stary mistrz Wańkowicz,
który wiele spraw studiował,
wyłożył rzecz jak należy:
że z Cortezem tu wojował
polski szlachcic pan Cholewa
co to chrzcił na prawo i lewo...

Tula, 1974

Wizyta

Ulica Tomaso del Paso y Troncoso,
domy jak ze złych snów o Ursynowie
trafiamy do drzwi zapisanych w adresie
pukamy, dzwonimy, cicho siedzimy –

otwiera facet w niebieskiej piżamie
słucha uważnie co z trudem pleciemy
że to właśnie szwagra Antka ciotki brat
z Hawany nam twój adres dał –

facet się rozpromienia, meksykańskim
śpiwnym akcentem pięć minut gada,
aż w końcu zrozumiałem, że się cieszy
i że cały zaszczyt mu przypada.

Więc wchodźcie, proszę – żona nas wita,
on baterię butelek wystawia –
pijcie, mili, bez krępacji
ja za to w sklepie nie płaciłem
ja jestem oficer policji
ja to w *regalo* dostałem...

Pani kolację szykuje
sałatkę z kaktusa daje
nacho z guacamole,
tacos w ostrym sosie,

tak sobie siedzimy, gadamy,
Meksyk, Kuba, Polska, polityka,
miło nam czas uchodzi,
pan coraz butelkę podtyka

a że byłem tęgi w gębie
i zdrową wątrobę miałem,
pod koniec on pod stół zleciał,
ja zaś na krześle zostałem

Meksyk, 1974

Gdzie raki zimują

Dzień marcowy, słońce w górze
na gliniance lód potężny,
ramię bagra ciut wystaje,
wnet przerębел tu zrobimy.

Gołe stopy, gołe dłonie,
– ten skafander trochę luźny,
woda leje się za kołnierz!
Ropuch już zszedł w dół – ja za nim.

Woda słońcem rozświetlona
Błękit lodu lśni wokół
bąble powietrza pod lodem,
wyrafinowane piękno.

Lina bezpieczeństwa znika
gdzieś tam w błękie przerebła,
świat nad przezroczystym lodem
jak z zaczarowanej krainy.

Mały rak dzielnie wiosłuje
płynie wstecz, macha ogonem
odprowadzam go w dół, w ciemność,
tam gdzie raki zimują.

Ołtarzew, 1962

Wdzydze

Kotwica z balastem za burtę, lina
leci w dół przez pawęż łodzi
zaraz za nią popłyniemy
w największą głębię jeziora.

Lebesław, Ropuch, Kowboj i ja,
dwa stare Cousteau, dwa Dregery,
dziurawe skafandry klubowe,
latarki własnej roboty.

Schodzimy głowami w dół,
przez chwilę jeszcze słońce widzę –
głębiej granat przechodzi w czerń
niżej już bez wyporności
– zjeżdżamy jak windą w dół.

Chrapanie reduktorów. Wokół
migają światła lamp kolegów,
w czystej wodzie nie widać snopa światła
odsuwają uczucie samotności.
Lina ci pion pokaże, ale
górze poznasz, bo tam lecą bańki.

Lęk narasta. Czy to narkoza azotowa?
czy masz dwutlenek w butli?
czy zwyczajnie boisz się, że
nie na swoim miejscu jesteś?

Manometru nie mogę przeczytać –
widzę cyfry, kropki, strzałkę
ale nie rozumiem co znaczą,
ze strachu tylko linę rękami obejmuję.

Twarde lądowanie na dnie.
Widzę jak Ropuch się kładzie,
jakby ucho do dna przykładał?
powie wieczorem przy ogniu, że posłuchać
chciał, czy od dołu ktoś nie puka?

Blisko pół wieku minęło,
dotąd z radością wspominam
ten zastrzyk adrenaliny
wtedy, 65 metrów pod wodą.

Wdzydze, 1964

Puerto Escondido

Gdy jadę z Hawany na wschód,
za Arrollo Bermejo, przed miradorem
skręcam w lewo w cienką polną drogę.
Po wybojach, po czerwonej ziemi, ostrożnie
dojadę do brzegu morza.

Dalej wzdłuż morza prowadzi droga – nie droga,
skacząc kołami z kamienia na kamień,
czasem z łomotem podwozia
dojadę do doliny wśród wzgórz.

Tam rzeka spływa z lądu; omijając skałę
tworzy ukryty zakątek: ni z lądu, ni z morza nie znajdziesz,
To ukryty port piracki, Puerto Escondido.
Na małej plaży strzeżonej przez dzikie wino,
w ścianie otwiera się głęboka jaskinia
pełna cienia w słoneczny upalny dzień.
W niej piraci mieszkali, czekając na statek z łupem.

Ale nie czas na cień! przed tobą
w morzu otwiera się rafa głęboka,
pełna feerii barw, kształtów, ruchów i smaków
Bajkowo barwne błazenki
kręcą się wśród płatów koralu ognistego,
ukwiały przestraszone twoim cieniem
nagłym ruchem znikają w swych gniazdach.
Ryba anielska podpływa:
sfotografuj mnie, proszę!
a balisty ze spokojem gryzą korale.

Rafa sięga daleko w morze; za nią
błękit oceanu z białym piaskiem na dnie
na dziesięciu sążniach głębokości leżą *abalones*,
czasem wielka czarna błysnie z dala,
a w głębi kłapie pyskiem barakuda.

Kuba, 1974

Manty

Piotr przysłał mi e-mail i swoje fotografie,
z wysp Revellagigedo plon swoich nurkowań.
Dziś długo szukałem tej nazwy na mapie –
dwieście mil na zachód od Baja California.

Skały, ośmiornice, dorady i balisty,
cień sylwetki rekina w błękitnej poświacie,
podwodny autoportret, ich jacht na kotwicy,
no i manty – diabły morskie w pełnej krasie.

Powróciły wspomnienia z czasów bardzo dawnych
kiedy – jeszcze młody i szczupły – nurkowałem
w wodach Barlovento, po nawietrznej Hawany,
i tam dziwne spotkanie było mym udziałem:

Naraz z błękitnej głębi wychynęły manty –
diabły morskie, jak ten co z Sindbadem spiskował:
czarne z góry, białe z dołu, pysk otwarty,
długi ogon i wielkich skrzydeł czarny owal.

Otoczyły mnie w kręgu i tańczyć zaczęły
zwinnie i powiewnie, jak Alicja Alonso
ta grupa wokół mnie kręci się wokół,
tamte z dołu w górę ponad mnie w krąg chodzą.

Słyszę co mówią: rzuć powietrze, oddychaj
skrzelami,
w duchu zaśpiewaj z nami melodię milczenia,
zostań tutaj i zatańcz razem z nami,
bo zawsze będziesz tęsknił do tego wspomnienia.

Nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłem;
kto tego nie przeżył, nie mógłby uwierzyć.
po czterdziestu latach, kiedy to wspominam,
to mistyczne spotkanie włos na skórze jeży.

Barlovento, Kuba, 1973



114

Droga do Varadero biegnie nad morzem
po płaskim, tuż obok fal,
plaża z szarym, brzydkim piaskiem.
Ale gdy dojrzysz słupek kilometrowy
z napisem: "sto czternaście" –
zatrzymaj się. Tu się schodzi do wody.

Zakładam płetwy, maskę.
Lekki przybój – falki na stopę wysokie,
po płaskim, płytkim dnie dochodzę do rafy.
Wielkie bloki skały wapiennej,
na niej korale ogniste sięgają powierzchni,
między nimi głębokie wąskie korytarze szarpane prądami przyboju.
Tu parzy – tam kłuje – łokieć zadrapany korałem –
uważaj bo ci maskę rozbije – albo zrzuci poryw prądu.

Trudna droga do raju! gdy przejdiesz przybój,
masz pionowe ściany pełne barw, światła, życia,
korale rogate, ogniste, rogi jelenie, kopuły mózgowe,
tu w dziurze wąsy langusty się ruszają,
tam czarny jeżowiec wachluje kolcami,
wśród różowych gąbek tańczą fioletowe wargacze,
niebiesko-żółte okonie kręcą się w dole,
najeżka zlekła się ciebie – chowa się za kamień puchnąc w oczach,
papugoryby patrzą czy jesteś dość smaczny dla nich,
spod skały skorpena wystawia swe kolce jadowe,
Rosjanie tu już byli! czerwona (roz)gwiazda na dnie...
z głębi guasa się uśmiecha szerokim pyskiem

trzy barakudy pokazują zęby: kogo dziś tu dają na obiad?

Ilekoć spotykałem na świecie nurka,
rozumiał hasło "sto czternasty kilometr" ...

Kuba, 1974

Zorza polarna

Słońce wybuchło. Wielka protuberancja uniosła w górę plazmę korony słonecznej, kończąc w niej reakcje syntezy. Długi świecący jęzor, jak kosmiczna łapa uleciał w pustkę międzyplanetarną.

Cząstki alfa, protony, neutrony, elektrony i całe to bractwo nuklearne poleciało wokół pchane potężnym ciśnieniem promienistym. Stu tysięcy sekund z hakiem trzeba było by fala wiatru słonecznego uderzyła swym maleńkim przestrzennym wycinkiem w magnetosferę naszej Ziemi.

Wiatr słoneczny pogiął, zwinął, połamał pole magnetyczne. Wściekłe cząstki Słońca wskoczyły w stratosferę, tam się rozpanoszyły i dalej tańczyć swój energetyczny taniec.

*** *** ***

O czwartej rano pobudka. Przemyć oczy, szklanka mocnej kawy, weź do łapy torby, zapakować auto i czas w drogę ruszać. Wybiegamy z domu – i tak stanęliśmy z zadartymi w górę głowami.

Nad naszym skromnym domkiem, wciśniętym w rzędy innych gdzieś na skraju miasta rozpałała się ze wschodu na zachód na tle ciemnego, lecz czystego nieba wielka wstęga fioletowej jasności. I tak stała nad nami, drgając i pulsując, zmiennobarwna, powiewna, piękna i przyjazna,

choć wnet ją przygasiły wielkomiejskie światła i smugi reflektorów na szosie – aż zgasła w promieniach wschodzącego słońca zorza polarna, *aurora borealis*.

Warszawa, 1.03.2010

Irbis

Irbis, śnieżna pantera, patrzy na nas z góry żółtymi ślepiami wodzi po okolicy pełźnie zwolna po ziemi, długim pręgowanym ogonem zamiatając śnieg –

Pani Joanna zakłada koflarchy, przypina dynastary i z miękkiego, potulnego Mszaka domowego przeistacza się w śniegożerczego Mszako-irbisa: Cyklopie oko gogli spod kaptura błyszczący pomarańczowo, czarny anorak, jasna plama skipasu wystaje z kieszonki, białe buty, czerwone rękawiczki, skrzy się w słońcu ogon kurzawy rzuconej w górę ostrym cięciem verticala.

Bo nieważne, że metryka uwiera w krzyże, że panna w kasie bez pytania aplikuje taryfę dla seniorów, że klucie w sercu to po prostu zapomniana w nowej kurtce szpilka, że dziewczyna spotkana w barze przy grzanym winie pyta: *Pani, kolik to rokov mate?*

bo to trzeba zjechać jeszcze raz słuchając szumu wiatru w uszach i śpiewu nart...

Zuberec – Milotin, 2010

Raport UFOludka

Polecono mi zbadać zachowanie żywych obiektów na górskim terenie, więc poleciałem swoim spodkiem w góry, tam gdzie oś planety od słońca się odchyła. Tam powierzchnia planety jest pokryta białą substancją, to jest drobnokrystaliczna stała faza tlenu wodoru powstająca w temperaturach zbyt niskich dla jakiegokolwiek znanej mi formy życia. Również tereny owe poddane są działaniu ultrakrótkiego promieniowania emitowanego przez gwiazdę centralną.

Pomimo to, znalazłem tam obszary, nachylone z lekka względem ekwipotencjału grawitacyjnego, gdzie za dnia i po ciemku pojawiają się rojowiska obiektów aktywnych biologicznie, więc żywych, wykonujących skomplikowane czynności.

Obiekty są różnej wielkości i koloru; ale wszystkie mają po cztery odnóża, do których przyczepiają dziwne przedłużacze nieaktywne biologicznie, cienkie i długie. Wiele z nich ma po cztery przedłużacze, niektóre po dwa, inne po jednym – ale szerszym. Wydaje się, że liczba tych przedłużaczy jest pewną funkcją nierówności socjalnych w badanym roju obiektów.

Obiekty wznoszą się w górę nachylonego terenu przy pomocy dziwnych urządzeń mechanicznych: na haku, na ławeczce, w pudełkach, po czym opuszczają się z powrotem kreśląc skomplikowane kręte trajektorie.

Celowość tych operacji pozostaje wątpliwa: Bilans energetyczny jest ujemny – następuje dyssypacja energii ze wzrostem entropii. Obserwowane procesy ruchu i ślady trajektorii mają zbyt aleatoryjny charakter, by nieść w sobie treść informacyjną. Istotnym skutkiem tych procesów wydaje się być rozerwanie więzów interkrystalicznych tlenu wodoru, ale można to przecież zrobić prościej.

Może wyjaśnienie sensu procesu kryje się w tym, że niekiedy opuszczający się w dół obiekt przerywa nagle swój ruch, zatrzymuje się w dziwnej pozycji, leżąc na białym pokryciu, odłącza przedłużacze i emituje silną falę akustyczną. Mój uczony kolega, który w czasie badań niejedną raz zjadł już taki obiekt na śniadanie, twierdzi, że formant obwiedni tej fali jest bliski dźwiękowi, który w jednym ze starszych kodów wewnętrznej interkomunikacji obiektów oznacza krzywiznę linii.

Brzmi to jakoś tak:
...o kurrrwww...

Dalsze badania semantyki zjawiska będą kontynuowane.

Tłumaczone z języka syriańskiego, używanego w układzie Syriusza C przez mieszkańców planety β .

Zuberec– Milotin, 2010

Na Orawie

Od wschodu drapie niebo Tater skalna ściana
gdzie Hrubá Kopa, Wołowiec i Spalonej granie
lśnią różowo w słońcu, sino błyszczą w cieniu,
naprzeciw śnieżna Racza, Przegibek w zieleni.

Z ławeczki wyciągu za górą lesistą
pod słońcem szarzeje masyw Małej Fatry,
a gdy już zjeżdżasz, kusi bielą Pilsko
i w dali Babiej Góry sterczy nos zadarty.

Błękit nieba tną białe samolotów smugi,
ten na północ, do Wiednia już schodzi ten drugi,
a ta krecha nad nami wschód z zachodem spina.

Zanim ruszysz w dół, stańmy tu pod szczytem;
nasyćmy się tym słońcem, śniegiem i błękitem,
jakby drugi – nie ósmy krzyżyk kark ci zginał.

Orawska Leśná, Słowacja, marzec 2011

Rady

W barze pod stacją wyciągu na Milotinie
siedzimy grzejąc łapy i język grzanym winem
słuchając wielojęzycznego gwaru.
Siedząca obok dziewczyna,
taka osiemnastka, z drucikiem wpiętym w policzek,
pyta naraz: *Pane, kolik rokov mate?*

Mówię, że razem nam cosik chybia
do stu pięćdziesięciu. Na to jej chłopak,
zaniepokoiony, powtarza pytanie
i dalej: jak to, panie, robicie,
że oboje jeszcze na nartach jeździcie?

I co takiemu powiedzieć? Że zdrowy tryb życia,
żebyś pił tylko czystą – nie wodę, broń Boże!
no może koniak, czasem jarzębiaku,
bo jak mnie uczył mój przyjaciel,
Enoc z Hawany, świeć Panie nad jego duszą:

*Tomar ron cada día – es una pura fantasía,
Una vez por semana – es una cosa sana,
Una vez por mes – es un síntoma de vejez,
Una vez por año – esto si puede hacer daño...*

*napić się każdego dnia – to jak czysta fantazja,
napić się raz na tydzień – to na zdrowie ci wyjdzie,
raz na miesiąc wypijesz – to już starość poczujesz,
a raz na rok wypijesz – to już krótko pożyjesz...*

a na starość posłuchaj dobrej rady zza Tatr:

*Ne pij, Jano, ne pij wody,
wszak to w wodę žaba brodi,
Hej, napij ty se lepij wina,
to je lepsza medicina...*

a między jedną a drugą radą
trza na nartach jeździć...

Zuberec – Milotin, 2010

Consejos

Sentados en el bar del telesquí a Milotin,
tomamos con Joanna el vino caliente
escuchando la charla multilingua.
De repente, la vecina, chica de dieciocho,
con un alambre argente en la mejilla
nos importuna: dime, abuelo,
cuantos años tiene?

Sorprendido, que me dice abuelo
le contesto que nos falta algo
a ciento cincuenta, entre nosotros dos.
Ahora su muchacho repite la pregunta
añadiendo – como hacéis de practicar esquiando
todavía en la edad avanzada?

Y como contestarle? Que la buena vida,
que tomar agua pura – pero no agua, aguardiente!
tal vez el ron, a lo mejor coñac,
como me aprendía mi amigo Enoc
de Habana – Dios guarde su alma –

*Tomar ron cada día – es una pura fantasía,
Una vez por semana – es una cosa sana,
Una vez por mes – es un síntoma de vejez,
Una vez por año – esto si puede hacer daño...*

y cuando viejo, escucha este consejo de Tatra:

*no bebas, Juan, no bebas agua,
porque en el agua anda la rana
mejor sea bebas vino,
es la buena medicina...*

y entre uno y otro consejo
hay que seguir esquiando...

Sklawsze*pamięci matki*

Przez Mariampol pojedziesz na Pilwiszki
skręć w lewo na Gulbiniszki, Jurksze, Pokalwiszki
(może też znajdziesz Podbiętych Myszkijski)
potem nad brzegiem Szeszupy Starki, Galakaysze
w ziemi gminy Zielonka, we wsi Kubeliszki,
leży wśród lasów niedysiejszy folwark Sklawsze.

Nie został tam dzisiaj kamień na kamieniu,
może gdybyś wysoko mógł wznieść się,
zobaczyłbyś w polu zboża obrys zachowany
dworku, stajni, stodoły – całego obejścia.
Miejscowi – z chałup rzadko rozrzuconych –
że tam było Sklawsze, potwierdzają.
Ale Czarnowskich nikt już nie pamięta.

Blisko sto lat minęło, gdy Bronisław i Zofia
z czworgiem dzieci osiedli, by późnej starości
doczekać na wsi polskiej, od stacji wiorst dziewięć
przy drodze żelaznej Petersburg – Królewiec,
od gubernialnego Kowna wiorst trzydzieści
a w Olwicie o wiorst trzystaście parafia.

Widzę jak mała Hania z dwojgiem młodszych braci
Adasiem i Bronkiem i z najmłodszą Zosią
biegły się kąpać, kwiatki zbierać nad Szeszupą
gdzie do dziś dąb olbrzymi stoi pośród sosen.

W Kownie stoi jeszcze gmach gimnazjum
wraz z internatem tuż za kościołem
Świętego Pawła, gdzie dzieci mieszkały.
Ich konfratra stamtąd w Warszawie spotkałem.

Lecz wiek dwudziesty kpił z planów
na lata czynionych; dobrze, że śmiercią nie ukarał
śmiały, co nadmiernie uwierzyli życiu.
Dziś został grób w Suwałkach, i pamięć
wśród niewielu potomków, którzy pozostali.

*Nad Szeszupą, 2008***Nad Wkrą**

Mała rzeczka przez pola się wije,
mazowieckie lasy przecina –
tu niskie brzegi trzciną szyje,
tam jej poblask na skarpę się wspina.

Łąka, brzozy, topole wysokie,
za nimi na wzgórzu dach błyska:
mały domek na skarpie łypie okiem
na krzewy tarnin, co rosną tu blisko.

Tulipan do słońca się wystawia,
piwonie piją wodę z konewki,
tu Małgosia z kwiatkami rozmawia
a Tadeusz nastawia nalewki.

Siedzą sobie tu na wsi, daleko od ludzi
póki młodzi, świat o nich nie pyta –
wszak we dwoje w życiu się nie nudzi,
a ptaki od rana śpiewają do syta.

Goławice, 2009

Kalina i Andrzej

Stary dom przy żoliborskiej ulicy
spogląda wokół drobną kratką okien;
czerwony stromy dach błyszczy w okolicy,
cień starego muzyka mknie chodnikiem.

Na ścianach stare portrety rodzinne
pradziadków gdzieś z kresów dalekich,
rysunki dzieci – i wnuków – niewinne,
półki pełne książek z minionych wieków.

W domu tym osiadło dwoje młodych
po bogatym w przygody życiu:
kategoria "D" w Bezmiechowej,
zatopiony messerschmidt w Wukśnikach,

Były tam syfony Zimnej Groty
kamieniołomy w Rogoźnicy
potem świat się otworzył szeroki:
nurkowania, których nijak zliczysz:

Varadero, Marsylia, Rijeka,
Uglian Otok z morzem pełnym wraków,
Beni Mered, Boumerdes, Algeria
i na koniec niezapomniany wasz Lwów.

I tak żyje ta wspaniała chata:
gdy piskłeta już w świat wyleciały,
trzeba przecież w otoczeniu bliskich
wspomnieć czasy mołojeckiej chwały.

Ulica Gomółki 6, 2009

**Wiersz jednozgłoskowcem
na cześć He Kry Sko
w dniu ich nieimienin**

Pan			
He			
Sko			
ma			
coś			
to:	Na		
Wzwyż	Zug-		
dziś	Spitz		
mknie,	ma		
zje-	wnet		
chać	być,	Lód	
chce.	w śnieg	lśni,	
	sam	mróz	
	rwie,	drży!	
	szus	Blask	
	w dół	gór	
	tnie!	do	
		chmur!	
			Chwyć
			dzban,
			daj
			nam!
			Suń
			szkło,
			lej
			do!
			Niech
			w nim
			lśni
			płyn!
			Święć
			się
			Wasz
			dzień,
			więc
			CARPE DIEM!

Chyliczki 2008

Spitsbergen

Szczyt Hornsundtindu drgnął zaniepokojony,
lodowce się poruszyły,
woda w fiordach zafalowała zmacona
renifery uszy nadstawiły:
obaj Ropuchowie tu wracają!

Niedźwiedzica w gawrze otworzyła oko
mruknęła cicho do niedźwiedzia:
nie będę w tym roku schodzić stąd z wysoka,
całe lato w norze czas przesiedzieć,
stary i młody Ropuch tu przypląwa!

Stary mors nad morzem ryknął w strasznej złości
płetwą swe małżonki poklepał:
czas opuścić w Hornsundzie nasze włości
na północ daleką gonią nas bez litości,
dwaj Ropuchowie tu będą nurkować!

Gizej długobrody na swym tronie w stacji
uśmiecha się od ucha do ucha
a mówili mi starzy, widać nie bez racji,
trudno tu pracować bez Ropucha!

Blade maki polarne i skalnice różowe
rozwinęły swe delikatne płatki
wierzby polarne rozczapierzyły listowie –
z Polakami lato będzie jak u matki,
gdy Ropuchowie powrócą!

w Warszawie, 2008

Wiosna, niedzielny ranek na Targówku

Szara kocica leży na ławce
w kącie ogrodu
czarny kocur skrada się cicho
na miękkich łapach –
Ona parska i syczy:
Co ty, kocurze, łazisz po moim ogródku,
między moimi kwiatami?
On miauczy groźnie:
Co ty, kocico, zajmujesz moje miejsce na słońcu?
I wrzask!
I krzyk!
I łapą w pysk!
I pazurem w ucho!
Z nienawiści?
Z uczucia?
Z miłości?

Chłopak z dziewczyną spotkali się na ulicy,
Stają o trzy kroki, pochyleni ku sobie –
On się latarni trzyma,
Ona płót podpira –
Ręce opuszczone, dłonie w pięści zwinięte –
On bełkocze: Gdzie ty się, k..wa, szlajasz!
Ona się drze: Coś się tak napier..lił piwem od rana!
I wrzask!
I krzyk!
I łapą w pysk!
I pazurem w ucho!
Z nienawiści,
Z uczucia,
Z miłości...

Zacisze, 8.05.2011

Jugosławia, gdy jeszcze była...

Mały motorek jazgocze radośnie po zakrętach
czerwone autko na tchu ostatnim pnie się wyżej
cykady w krzakach śpiewają swą pieśń szaleńczą –
my, młodzi wówczas i szczupli, pełzniemy przez Jugosławię

W miasteczkach ludzie przy drodze nas zaczepiają
– Hej, Polak! Živo Gomułka, živo Tito!
– Chodź wina się z nami napić!
no przecież żeśmy nie odmawiali ni razu...

w tawernie na Uglianie, gdzieśmy zaszli wieczorem,
jeszcze wtedy ryby łowili w Adriatyku
gospodyni dawała piekące od papryki,
i mówi: tylko winem popić! nigdy wodą!
do szklanic nam wina szczerze dolewała
potem: wy nic nie płaciecie, Polacy;
wasz rachunek tym Niemcom obok dopisałam!

Kompania była zacna: ja z Joanną, ona ze mną,
i jeszcze my we dwoje –
to razem sześć dusz w Syrence się zmieściło
później Kowboj z Lebeśławem dołączyli.

Znaleźli nas w Barze na łące nadmorskiej
po naszym namiocie z łaciatym tropikiem z perkalu
w dalszą drogę już w dwie Syreny
najlepsze auta ze wszystkich, bo tam jechały (przeważnie)
gdzieśmy chcieli...

Przez Banialukę, Sarajewo, Bar, Dubrownik,
po jantarskiej avtoputi do Rijeki
było wino, nurkowania i podwodne fotografie,
i nawet do domu udało się dojechać.

Nieraz potem przyszło nam tam wrócić,
wiele dróg prawdziwym autem przebyliśmy,
ale przecie ta nasza podróż po ślubie
mocno utkwiała w pamięci.

Adriatycka magistrala, 1967

Ἀπόλλων – Dionizje w Daphni

Hagios Odos prowadzi z Aten
do świątyni Apollina w Daphni
gdzie niegdyś w miesiącu Elafebolion,
na cześć nadejścia wiosny,
święta dionizyjskie celebrowano.

Na ruinach świątyni Apolla
klasztor i kościół zbudowano.
Dziś w parku wokół ruin jest camping,
miejsce spotkań wiary włączęków ze świata

i w lipcu – przez wakacje –
pamięci Apolla cześć oddaje
spragniony tłum cudzoziemców.

Za wejście do parku zapłacisz. Ale za to
do garści dostaniesz
kształtną buteleczkę ze szkła odlaną
na wzór antycznej amfory
i kubek, by łatwiej było żyć.
Zaś w parku Apollo postawił – sprytnie po krzakach chowając –
ze dwieście foremnych beczulek,
a każda ma kranik,
i każda jest pełna,
a nie jest to woda...

Cóż, dobrze jest mieć troskliwą żonę,
co nad ranem odprowadzi
(hm, hm.... zaniesie...)
na niedaleki camping do namiotu –
bez tego następne noce bym pod beczkami przesiedział

Daphni, 1975

**Połonina Wetlińska,
Ludwik "Lutek" Pinczuk**

– Widziałas dziś na ekranie ten film
z Połoniny, tam stary Lutek Pinczuk był ?
– Popatrz jak się postarzał od lat,
gdyśmy tam na ogień rąbali drwa.
– Przecież to niemal wieku pół
jak tam weszliśmy resztką sił...

– a pamiętasz przez Bukowe Berdo szlak,
to stado żubrów co nas nastraszyło tak?

– a ten biwak nad Sanem w Wilkowyji
i wilki co całą noc w lesie wyły?
– To nie Wilko-, to była Wołkowyja!
– ale to nie wołki, lecz wilki tam były...

– a pamiętasz na Tarnicy te deszcze?
namiot na jagodzisku stawialiśmy jeszcze
– a potem przez dwa dni z okładem
jedliśmy te jagody co rosły za progiem...

– a ta gospoda w Cisnej, na obiad dali nam
michę zupy z grzybami, co je zbierali tam,
wyjedliśmy je wszystkie, pod łychę skrzypiało dno,
– dziś już takich grzybów pewnie nie ma, co?...

*telewizor i ciepłe kapcie – luty 2012,
Bieszczady z namiotem, 1965*

Sójki

Wrzask i rejwach wśród drzew
na orzechu siedzi ptak
tu drugi leci na swierk
trzeci zza płotu gdzieś tam
wielkie, rude, pas błękitu
tak szybkie że ich nie zliczysz
a wrzeszczą,
a kraczą,
a miauczą –

te sójki miauczeć się nauczyły
swego wroga kota prześladowają
tylko by kocura lżyły –
na pohybel czarnym zbójom,
ta z góry na niego się drze,
ta pikuje z pazurami,
jakby go chciała rozedrzeć
wspólnie z innymi sójkami –

Kot wcisnął się pod derenia,
swoje żółte ślipia zmruża
nieruchomo, bez wzruszenia,
– Żadna sójka mnie nie wkurzy,
– Nie obchodzą mnie te ptaki
co dokazują nad głową,
– niech sobie krzyczą biedaki –
a koniec ogona kiwa się nerwowo...

i tak codziennie – tam sójki, tu kocur
tylko ptasi jazgot bucha –
aż tu naraz – w mgnieniu oka –
czarnej łapy szybki zamach –

wrzask się uciął –
– cisza w uszach –
– spada na trawę cichym lotem
rude pióreczko z błękitem
i parę lotek ze skrzydła...

w ogrodzie, czerwiec 2011

Wigry

Wigierskie noce
chlupot wody w trzcinie
skrzeczą żaby pod brzegiem
smuga księżyca w łuskach fali –

nasz okręt pochylony wiatrem,
pieszczota słońca, ryby w wodzie –
– może chleb będzie w Starym Folwarku?
– a jak nie dowiozą to placki będziemy smażyć –
– pamiętasz, ta w Bryzglu mówiła że sajre w puszkach rzuca?

Czas odstawić łódkę na jezioro Białe
do leśniczego w Wasilczykach,
– to ty popłyń, ja pojedę autem
– ale sama nie dam rady –
podchodzi młody człowiek, wysoki, wąsaty,
piątka dzieci za nim według wzrostu –
– to może ja pomogę?

Popłynęli, pojechałem, zabrałem wszystkich,
żegnamy się, dziękuję za pomoc –
on się przedstawia:
Komorowski jestem, Bronisław...

Wigry, Czerwony Krzyż, 1988

Deklaracja ideolo – wyborcza

Nie żebym zawsze,
ale jak coś kiedyś,
to nie ja,
bo ja nigdy –

ale jeżeli nawet kiedyś coś
a może nawet ktoś,
to przecież jakby coś,
to ja jakby nigdy nic

a jeżeli już coś by tam było,
to, cytując klasyka, (*)

jak to było,
tak to było,
ale jakby nie było,
to jeszcze nigdy nie było tak,
żeby jakoś nie było,

co nie?

i to by było na tyle,
(chyba że na przedzie).

(*) Praga, ul. Na Bojisti 6, na ścianie, tłumaczenie własne.

Vorderkaserklamm

Orogeneza alpejska w trzeciorzędzie
wyniosła w górę Alp potężne szczyty,
gdy afrykańska płyta magmowa
napadła zdradziecko płytę Eurazji.

Spłynęły ze szczytów wielkie rzeki
w cztery strony świata,
wyplukując w skałach rozległe doliny,
wśród nich małe rzeczki
i maleńkie strumienie.

Mały potok popłynął przez wysoką ścianę
z granitu, co mu w poprzek nurtu stała
i dawaj ją nadgryzać:
powoli, pomału,
jedną warstwę atomów krzemionki w minutę,
i tak gryzł przez czterdzieści milionów lat.
Zrobił Vorderkaserklamm.

Weź dużą szpulkę nici,
połóż nić na kuli sera
i ciągnij. Aż do końca szpulki.
Dostaniesz model fizyczny erozji wodnej w granicie.

Dziś wchodzisz w wąwóz z doliny rzeki.
Otwiera się przecięcie granitowe nad głową,
Nie widzisz nieba – na sto metrów w górę zakryte granitów nawisem –
Huczy potok po skałach, echo niesie z góry.

Zdaje się takie być wejście do Hadesu!
czy ta woda aby nie ze Styksu spływa?
czyżby Charon na swej łodzi tu żeglował?
zaraz dzikie Erynie ze ścian się wychylą?

i lęk cię chwyta: zbliżają się ściany,
jakby zaraz drgnęły i się zawarły wokół,
natęża się grzmot potoku, mokre ściany, z góry krople –
ale dalej chodnik wiedzie, z sosnowych bali ułożony – . /.

idę dalej, bez lęku, za Markiem i Jadwigą,
klaustrofobię w strumieniu utopię,
wsluchany w łomot wody na kamieniach
układałam w myśli pierwsze strofy wiersza.

Lofer, Austria, 2011

Węgry

Taki mały kraj w środku Europy:
gdzie Cisa z Dunajem się łączy na nizinie Pannonii
tam wiele ludów pozostawiło swe tropy,
król Arpad – w czasach Piasta – przyszedł z Madziarami
swymi.

Pod Miskolcem wielki kurhan usypany,
na nim krzyże ku pokrzepieniu serc;
tam Madziarzy z Mongołami walczyli
bohatersko przelewając krew.

Na południu twierdza Gyula
– jak dobrze znamy te słowa:
Mathias Korvin padł broniąc chrześcijaństwa
przeciwko tureckiej nawale ze wschodu.

Na północy w Nyirbator sterczy zamku ruina,
stamtąd pochodził Istvan – Stefan król,
tam siedziała wielka Batorych rodzina
i wódz co Moskali jak nikt dotąd bił.

A po polach wspinają się winne grona,
A po muzeach słyszę brzęk krzywych szabel:

Polak, Węgier, dwa bratanki,
i do szabli, i do szklanki.

Ale nie tylko bohaterów kości i zamczyska,
jak dobrze jest się wyciągnąć w gorącej wodzie
co z lekka torfem i borowiną łyska,
popatrzeć na śliczne węgierki – śliwki w najnowszej modzie,

Chwyć potem w łapy butelczynę zimnego tokaju –
możesz wziąć egierskiego – to wszak wolny naród –
porozmyślaj sobie o historii tego kraju,
wsluchaj się w rytm czardaszy Kalmana i Lehara,
i popatrz jak wędrowni plemion prastarych
odbijają się w genetycznych badań realu.

*Arnyas camping, **Püspökladány**, 1989 –2010*

Madziarzy

Basi i Stasiowi – z serdecznym wspomnieniem

*Lengyel–magyar két jó barát
Együtt harcol s issza borát
Vitéz s bátor mindkettője
Áldás szálljon mindkettőre.*

*Tłumaczenie tego jest proste:
Lengyel–magyar – to dla wszystkich jasne,
két – dwa, jó – dobry, a barát
to jakżebyś chciał – zwyczajnie brat .*

*Zaś jak chwilę przy słowniku posiedzisz,
to i resztę na polski wywiedziesz,
nieco tylko rymów dodając
żeby ładniej to potem brzmiało:*

*Polak, Węgier, dwa bratanki,
i do szabli, i do szklanki.
Oba zuchy, oba żwawi,
niech im Pan Bóg błogosławi!*

*Już od konfederacji barskiej
z bratankami tak się rymowało –
aż w badaniach genetycznych całkiem
prosto sedno sprawy wyniknęło:*

*Haplogrupa R1a1,
to jest seria alleli genów chromosomu Y
tworzy ciekawy antecedens:
przenoszona w linii męskiej, co nie dziwne,*

*występuje od ostatniej mutacji
wśród Słowian u 2/5 blisko
(od lat jakichś piętnastu tysięcy)
w ich populacji wszytkiej --*

*lecz jak u Polaków i Madziarów zmierzysz
to jej częstość jest dla 3/5 zgodna
u innych ludów korelacja znacznie niżej leży,
więc doprawdy my z nimi bratanki nieodrodne.*

*Nie wiem skąd ta zbieżność się bierze
i dlaczego to tak musi być;
ale jeden wniosek jest pewny:
dobrze jest nam Polakom węgryzna pić...*

*Arnyas camping, **Püspökladány**, 1989 –2010*

*egyutt – razem , harc – walka, issza – pije, vita – spór, bator –
odwazny, dzielny, mind – wszystko, kettoje – za dwóch, podwójnie,
aldas – ofiarne, szalljon – niesie, przynosi.*

Wikipedia:

Haplogrupa – w [genetyce](#) to grupa podobnych ze względu na wspólne pochodzenie [haplotypów](#), czyli serii [alleli genów](#) położonych w specyficznym miejscu na [chromosomie](#)

R1a1 (M17) – w [genetyce](#) [haplogrupa](#) **występująca** w męskim [chromosomie Y](#).

Na kontynencie europejskim dominuje **wśród** Słowian i Węgrów. Obecnie występuje z częstotliwością 40% w krajach słowiańskich z małymi odchyleniami (60% Polska, Węgry)
zob. Wikipedia

[Mutacja](#) tworząca R1a1 **powstała** u osoby zamieszkującej stepy Eurazji ok. 15.000 lat temu (Europa południowo-wschodnia, Północny Kaukaz lub Azja Środkowa). wykazano związek R1a1 z kurhanowcami (ich potomkowie to [Scytowie](#) i potem [Sarmaci](#)), utożsamianymi z ludami posługującymi się wczesnymi [językami praindoeuropejskimi](#), oraz pierwszymi, którzy oswajali [konie](#), dosiedli ich i rozprzestrzenili haplogrupę R1a1 po Europie i Azji[1].

Budapeszt*Stachowi na pamiątkę*

Wielkie miasto w małym kraju:
małym ziemią, ale wielkim tradycją i historią
Tak o tym mieście głośno,
że ja tylko małe trzy grosze dorzucę
z tego skrawka, co lubię.

Nad Dunajem przy moście Małgorzaty
stoi na pomniku generał Józef Bem.
Bem Apo, polski dowódca powstania listopadowego,
bohater Węgier, naczelny wódz w ich powstaniu,
marszałek Turcji, Murad pasza.
Ten to miał życiorys – miałby IPN co lustrować!.

Nad Dunajem na północy,
gdzie stacja metra Szentlelek
w starym zamku jest muzeum Vasarely'ego.
Oł, taki biało–czarny kubizm geometryczny,
dalekie reminiscencje impresjonizmu
w binarnym uproszczeniu.

Obok, pod wiaduktem Arpad hid,
szczątki rzymskich ruin z Aquincum
oszczędzone przez współczesnych budowniczych.

Tu strzegł *limesu* nad Dunajem legion rzymski,
bronił *pax romana*
przed napadami dzikich plemion spoza gór,
Ligów, Sarmatów i Lengyelów.

Na granicy miasta
leży mały, przytulny, kemping
gdzie często gościliśmy.
Wielkie Ikarusy tam chodzą –
w końcu, autobus u siebie w domu...
Obok, na rozstajnych drogach – *etterem*,
knajpka, gdzie świetny bogracz dawali
i riesling do popicia..

Dalej , w Solymar, w zagajniku na starym cmentarzu,
spoczywają polscy lotnicy,
ci co latali z Brindisi
z pomocą Powstaniu.

At, jeszcze możnaby tysiące słów,
sam wiesz, Stachu, jak to smakuje...

*Arnyas camping, **Püspökladány**, 1989 –2010*

Pusztą

Po raz dwudziesty może jedziemy do pusztą –
pusztą – pusta, czyli nic, pustkowię
równina, po niej wielkie rzeki poszły
między nimi słonecznik, kukurydza, torfy,

gdzieniegdzie miasteczka przepięknej urody
malowane lukrem cesarsko–królewskim,
a czasem zniesmaczone socrealizmami,
wśród nich pionowe strzałki silosów sterczą.

Jest tam Debreczyn z kalwińską urodą,
jest Nyireghaza z największym bazarem
tam Hajduszoboszlo – kurort z ciepłą wodą,
lecz my jedziemy dalej – gdzie, nie powiem.

Małe miasteczko, niczym nie wsławione,
Na skraju kemping w lasu eukaliptusowym
zespół basenów, w nich woda torfowa
w której wszystkie ważne krążą jony,

dzikie kaczki w stawie, garść Madziarów
lecz tylko tacy, którzy drogę znają –
z całej Europy trochę cudzoziemców,
przestrzeni dosyć, ścisku tu nie mają.

tak sobie siedzisz w dziupli pod namiotem,
pół dnia przeleżysz w wodzie nie bez racji,
a na wieczór dwulitrowa bańka z tokajem
w sam raz ci smaku doda do kolacji...

Arnyas camping, Püspökladány, 1989–2010

Koty

cisza wieczorem
kocur Radar śpi na piecu,
wtem krzyk za oknem:
Lula sopranem: Radar, kocurze!
Zula altom: Chodź tu, kocie!
Barnaba basem: Czekamy na ciebie!
Wszystkie razem: Miauuuuu!

Kocur zapala radarowe żółte światła swych ślipiów
zrywa się jak czarny futrzany czarownik,
Pędzi do drzwi:
Ja muszę! NATYCHMIAST! NO juuuuŻ!!! Miauuuuu!

Na cichej uliczce
Wrzask za oknem:
Lula sopranem: Koty, koty!!
Zula altom: Księżyc w nowiu!
Barnaba basem: Merkury w koniunkcji!
Radar tenorem: To kocia noc!!!

Wszystkie razem: Biegniemy na dachy
Bliżej księżyca!
Miauuuuuuu!

Lula sopranem: Po płotach, po drzewach!
Zula altom: Po rynnie, kto zwinny!
Barnaba basem: Po pniach, po gałęziach!
Radar tenorem: Po murach, po sznurach!

Wszystkie:
Na dachy, na kominy
Do księżyca,
Miauuuuu!!!

25.2.12. Zacisze

La Cobertoirada

(w języku oksytańskim, *langue d'oc – occitan*)

Autostrada z Montpellier na Nord,
w kierunku wiaduktu w Millau,
przecina pustkowia Les Causses:
trochę lasów, trochę piasków, parę skał,
pusty i pustynny kraj.

To już lat pewnie trzydzieści,
gdy tam starą szosą jechaliśmy,
wymijając na niej dziury poboczami,
kręciliśmy się między pagórkami.
porudziały od piasku i rdzy drogowskaz
kieruje na szutrem wysypany zjazd --

i naraz -- zza wzgórza – dziwo się pojawia:
z białego wapienia wieże, baszty, mury
widać że to stara jakaś zjawia
mury spękane, wieże zwalone od góry
brama szeroko otwarta w murze,
przed nią łączka posypana gruzem,
na niej owce.

Wchodzimy. Za murem domy z płyt wapiennych,
kłęby krzaków dzikich róż i głogu,
na górze kościół wznosi się murem kamiennym
przez dziurawy dach brzoźki rosną wokół,
resztki fresków na ścianie, ołtarz już się kruszy,
przy ścianie czyjaś litościwa ręka
postawiła kamień z krzyżem templariuszy,
na starym krzyżu jeszcze Boża Męka --

obok kołek wbity, uwiązany baran skubie trawę
na grobach sprzed stuleci. Panie, miej rozwagę...

Kury gdaczą na domostw niskich dachach,
gdzieniegdzie z komina strużka dymu leci,
kobieta na podwórku ptakom sypie kaszę,
wiadro wody wlecze zasmarkany dzieciak.

Powiało dwunastym wiekiem.

La Cubertoirata – w starofrancuskim języku –
niegdyś dolmen, miejsce przykryte kamieniem,
potem wieś templariuszy i szpital dla mnichów,
dziś czytam w folderze, że i stu dusz tu nie ma.

Wróciliśmy tam, gdy minęło ćwierć wieku
Zjazd z autostrady, podjazd, opłaty, bilety. parkingi.
Chleb, miód, wino, sery, mydło i powidło.
Wieże murów zwieńczone dachami,
w dali wiatrak z epoki ma skrzydła,
tłum turystów, dzieciaków, "*son et lumière*", głośniki,
Doprawdy, proszę państwa,
francja–elegancja!

Powiało dwudziestym pierwszym wiekiem.

A mnie tam trochę żal...

La Couvertoirade, 1981, 2006

La Cobertoirada

(en *langue d'oc* – *occitan*)

L'autoroute de Montpellier
dans le sens du viaduc de Millau
coupe la brousse des Causses:
quelques bosquets, quelques sablières, des rochers,
un pays vide et désertique.

Une trentaine d'années ont passées
quant nous y allâmes par la vieille chaussée,
en sautant sur les trous au goudron,
en tournant entre les collines.
Un poteau, roux par sable et rouille,
nous indique la sortie en macadam --

et tout-à-coup – derrière le monticule – apparaît
un miracle de la pierre calcaire:
murailles, tours ,beffrois
un fantôme de la vieille époque:
les murs décrépites, les beffrois crevassés,
le portail ouvert largement dans le mur,
devant elle un champ herbeux en gravats,
et les brebis.

Nous entrons. Une rangée des maisons
de la pierre blanche, le long de la rue,
les buissons sauvages du gratte-cul, des genets et de
l'aubépine,
les parois de la vieille église sur la colline,
quelques traits de vieilles fresques, l'autel en miettes,
les jeunes bouleaux se dressent sur le mur cassé,
à côté la pierre porte la croix de templiers.

Aux tombeaux d'autrefois un mouton paît,
les poules caquettent sur les basses toits des piaules,
parfois la fumée s'élève d'une cheminée,
une femme dans la cour jette le grain aux poules,
un gamin morveux traîne le seau d'eau.

La bouffée du douzième siècle.

La Cubertoirata – dans le français d'antan,
autrefois un dolmen, la place couverte d'une pierre,
après ce fût le village des templiers, l'hôpital des moines à glaive,
aujourd'hui je lis dans le guide que moins de cent âmes y vive.

Nous y sommes retournés un quart de siècle passé
L'autoroute y mène presque à la porte,
Parkings, tickets, caisses, guides et tout cela,
Pain, miel, vin, fromages, tout le commerce,
murs, beffrois sont si beaux comme en plastique,
un moulin à vents avec les ailes de l'époque,
les foules, enfants, chiens, son et lumière
C'est vrai, messieurs:
la France – élégance!

La bouffée du vingt-et-unième siècle.

mais moi, je regrette tout un petit peu...

La Couvertoirade, 1981, 2006



*Bo w sercu ułana,
gdy je położysz na dłoń,
na pierwszym miejscu panna,
przed nią tylko koń.*

Bolesław Wieniawa – Długoszowski

Julian

pamięci Ojca

Konnica Budionnego na Lwów pędzi
– zając, spalić, na Warszawę gnać,
– Tuchaczewskiego pomścić klęski;
My tu nad ługiem będziemy twardo stać!

Porucznik Strzelecki rozkaz dał:
– trzeci szwadroon – do szarży – w cwał!
Ech, fantazja ułańska, gdy osiemnaście mam lat,
i już dwa lata bojów wśród wołyńskich chat!

Lanca do boju, szabla w dłoń -- bolszewika goń!

Wybuchy, odłamki, z konia wali się ciało –
w szpitalu: jak nasi? pyta gdy oczy otworzył.
Chłopie, trzydziestu ośmiu was w polu zostało,
lecz Moskal nie przeszedł w Chodorowie! Lwów przeżył!

Oj, ciężko było: we Lwowie pozszywali,
w szpitalu krakowskim dwadzieścia dni leżał
potem na lekarską komisję wezwali:
dosyć, młody, idź wojować jak należy...

hej, hej, ułani, malowane dzieci...

A piękny był początek – w roku osiemnastym,
w listopadzie, dom i szkołę rzucił,
do piątego pułku ułanów się dostał,
musztry, mannlichera i szabli się uczył.

a już z wiosną poleci na Kowel, Polesie,
Janówka nad Stochodem – tam kulę dostanie
at, draśnięcie! do Kijowa swą szablę doniesie,
z pułkownikiem Sochaczewskim ułanem się stanie.

czy pozwoli panna Krysia, młody ułan pyta...

Wrócił do cywila: trza Warszawę stawiać
pierwsza praca: wiadukt kolei nad Wolską
potem na Ochocie akademik budować,
potem pierwszy drapacz chmur nad Polską...

Budowali Muzeum: dostał to zlecenie
by cały gmach szarym obłożyć kamieniem –
dotąd stoi; i takóŜ wśród wielu mozołów
swoj dom stawiał w Gołąbkach, przy ulicy Legionów.

Ale to już inna historia...

*więc pijmy wino, szwależerowie,
niech troski zginą w rozbitym szkle...*

1902–1968

Przeciw

pamięci Ojca

Ojciec zawsze był przeciw temu co po drodze:
jak Budionny ze swą konnicą na Warszawę
leciał, to szablą mu drogę zastawił
i pomogło; i zyskał swemu wojsku sławę.

W latach trzydziestych z PPS do Pragi go wysłali
na kongres masonów i wolnomyślicieli;
wieczystą nienawiść zyskał u katoprawicy,
endeków i ozonów, ale swoje zrobił.

Bo to przecież mówili starzy mądrzy ludzie,
na świecie całym to samo powtarzali,
kto młody nie był socjalistą, to i się ześwini
z wiekiem – nie wierzysz – popatrz wokół –

Za to za Stalina – sam to już pamiętam –
księdza pod rękę wiódł pod baldachimem
w procesji Bożego Ciała w parafii
i projekt nowego kościoła rysował.

a potem, jako prywatny przedsiębiorca,
wrzód na dupie klasy robotniczej
w Białym Domu KC naprawiał to wszystko,
co tam spieprzyli jego budowniczy.

A ze świata wokół – nie znosił bełkotu,
tak jak ja nie cierpiał grajków mu współczesnych
w muzyce Lehar, Strauss był autorytetem,
w życiu, mówił, bądź inżynierem – zrób jak należy...
...

Ci co byli w zgodzie – robili kariery,
stanowiska, zasługi, zaszczyty, order, y,
a on sobie jabłonie szczepił w sadzie
i powtarzał po prostu: nie lubię, do cholery...

1902–1968